

Bieniek Agata

Diabeł Morski

Autorka pisze o sobie:

Kilka zdań o Autorce? Autorka nie lubi pisać o sobie, zwłaszcza, że w porównaniu z innymi Autorami publikującymi na Waszych łamach, nie ma za bardzo co napisać.

Urodziła się w 1979 roku. Jest zadowolona z życia przeciętną dziewczyną, która bardzo lubi polskie morze i kąpiel pośród dużych fal. "Diabeł Morski" to jej debiut.

Gazeta lokalna z 13 lipca 1972 roku:

"(...)Właścicielka latarni morskiej została znaleziona martwa na betonowym tarasie przy latarni. Przyczyną śmierci był prawdopodobnie nieszczęśliwy wypadek spowodowany nieostrożnością kobiety, która podczas nocnego sztormu, po spożyciu nadmiernej ilości alkoholu, tańczyła samotnie walca na górnym tarasie wieży (wysokiej na 88,5 m). W pobliżu nie było nikogo, kto zdążyłby zapobiec jej upadkowi. Mąż zmarłej znajdował się wówczas na odległym o 200 mil morskich statku "Diabeł Morski", ich syn przebywał na obozie studenckim, a nastoletnia córka wracała rowerem z pobliskiego miasteczka. (...)"

Zło czai się w zaroślach, he, he.

1.

Wprowadzili się w czerwcu 2002. Opuszczona i od lat nie używana latarnia morska, którą kupili za śmiesznie małe pieniądze, wyróżniała się czerwienią cegieł na tle błękitnego nieba. Na kamiennych stopniach wiodących do drzwi wieży można było usmażyć jajko. Powietrze stało nieruchomo, ciężkie gorącem i nasycone barwami słońca. Okoliczne zarośla zdawały się jęczeć i prosić o cenne kropelki wody. Każda obecna, a ożywiona istota, dotknięta została męczącymi skutkami położenia w klimacie umiarkowanym.

Piękne zaiste miejsce wypadowe wybrali na lato. Romantyczne niczym w XIX-wiecznych balladach, estetyczne za dnia, mistyczne nocą, o tajemnej aurze zdolnej poruszyć serca wrażliwych dam, a szlachetnych mężów podjudzić do bohaterskiego czynu. Tylko że nikt spośród nowych lokatorów latarni nie był ani wrażliwy, ani tym bardziej bohaterski. Inaczej ich wspólne wakacje nie zakończyłyby się nieprzypadkową śmiercią jednego z nich.

Ona - zadbana i ponętna specjalistka od marketingu, na dodatek całkiem błędnie przekonana o dużej wartości swego sukcesu zawodowego. On - adwokat, wymuskany 50-latek, jakieś 10 lat starszy od swej

urodziwej żony. W pracy pewny siebie intelektualista, w domu miękki jak poranny pantofel. Pomiędzy nimi jego nastoletnia córka - zapryszczone, grubawe biedactwo o wzroku wciąż skierowanym na swoje mało ciekawe palce u stóp. Typowa rodzina, której los przydzielił dużo pieniędzy i znacznie więcej potencjalnego szczęścia, niż na to zasługiwali.

Przyjechali wczesnym popołudniem, po wcześniejszym remoncie piętrowego domu, odgrozonego jedną potężną ścianą od latarni. Wyładowali stos markowych, specjalnie dobranych mebli z kilku ciężarówek oraz postawili ciężkie walizy na jeszcze nie odrestaurowanej, popękanej powierzchni tarasu. Jej zaletą było to, że w upalne wakacyjne dni chłodziła rozgrzane stopy.

Rozległy się pokrzykiwania tragarzy, a wysoki, męczący głos nowej gospodini z przykrą regularnością rozcinał powietrze i nieprzyjemnie wrzynał się w uszy. Poganiała męża, zrezygnowanych pracowników i ospałą pasierbicę, która usiłowała skryć się w cieniu bujnych zarośli głogu. Tacy ludzie, jak pani domu - Viola (zgodnie z tym, jak zwracał się do niej mąż) - nie znoszą sprzeciwu i zawsze muszą mieć rację. Viola w dodatku dysponowała bronią w postaci swego apetycznego wyglądu doświadczonej, zadbanej 35-latki. Idealnie wypielęgnowana cera, makijaż zgodny z najnowszymi trendami lansowanymi przez debilne kobiece magazyny i długie, pomalowane na czerwono paznokcie z pewnością wymagały nakładu czasu, uwagi i pieniędzy. Zgrabne, opalone nogi, odziane w buciki na modnym ostatnio cienkim obcasiku, plus rzekomo naturalnie wyglądające brązowe loki, dopełniały całości. Istne cacuszko, starannie przyodziane w podkreślającą jej smukłe kształty firmową sukienkę.

Z pewnością natychmiast postara się przeistoczyć malowniczą latarnię w luksusową twierdzę o marmurowych posadzkach i satynowych zasłonach, które nie wpuszczają słońca.

Aż tu nagle - trach!!! Brzęk szkła i płatanina podnieconych głosów naraz ucicha. Jakiś przedmiot, pewnie zbłąkany kamień wpada we wnoszone właśnie przez tragarzy duże lustro o bogato zdobionej ramie. Masa drobnych igiełek szkła, połyskujących niczym bursztyny na tle lazurowego morza, wbija się w czerwone obicie stojącej w poprzek tarasu sofy. Co za pech! Taki ładny, nowiutki mebel - całkowicie zniszczony, zanim jeszcze ujrzał wnętrze przybudowanego do latarni dwuspadowego domku. Wszyscy obecni, z tragarzami na czele, oniemieli. Ciszę przerwał po chwili nienaturalnie donośny skrzek mewy. A może to szum fal morskich, wnikających w wilgotny piasek tak kojąco działał na nerwy? Pierwsza oprzytomniała ta cudowna, błyszcząca od olejku do opalania Violetta.

- No co się tak gapicie! - krzychała na osłupiałych tragarzy - Zaraz mi to sprzątnąć! Płacę wam ciężko zarobione pieniądze, a wy jeszcze przynosicie szkody???

Praca ruszyła więc znowu. Viola co chwila włączała telefon komórkowy i wydawała swym piskliwym głosikiem władcze polecenia, wysyłane następnie z szybkością światła w głąb bezpiecznego, zaludnionego lądu.

- Co tak stoisz? - Warknęła na pasierbicę - Wnoś swoje bagaże. Tragarzy wynajęłam tylko na trzy godziny.

Smutne dziewczę o dużych, stłamszonych pod zbyt małym podkoszulkiem piersiach i niezgrabnym ciele, posłusznie chwyciło dwie kanciaste walizy i zniknęło wraz z nimi w ciemnym otworze drzwiowym wiodącym do domu przy latarni.

Tymczasem pan domu, przekonany o swej wyższości prawnik, który jak zawsze wszystko dokładnie słyszał, gapił się teraz z bezmyślnym, błogo nieświadomym wyrazem twarzy w spienione morze. Wzrok utkwiał w chaotycznym stadzie niewielkich ptaków, kołującym ponad wodą. Pomimo 50-tki na karku, doskonale jeszcze widział, zarówno z dalszej, jak i bliższej odległości. W przeszłości musiał być uroczym, przystojnym chłopcem, za którym dziewczęta, niczym te ptaki, stadami podążały w poszukiwaniu wrażeń.

Tak więc nowi państwo powoli zajmowali swoje stanowiska, które były im pisane bez względu na miejsce pobytu. Viola myślała, że dyryguje pozostałymi, sama będąc niewybaczalnie ślepa, on gapił się i niewiele widział, a zapryszczona nastolatka kursowała pomiędzy nimi jak posłaniec.

2.

Myśleli zapewne, że kupili sobie raj na ziemi. Co za ironia! - Romantyczne gniazdko dla tego magicznego, trzyosobowego związku o formie różnobocznego trójkąta. Ale każdy z jego wierzchołków boleśnie kłuje, wpija się, polaryzuje pozostałe. Najmniejszy błędny ruch może zerwać ten naprędcę i niechlujnie zbudowany twór.

Latarnia wraz z przyległościami była wprawdzie malownicza, stare drzewa owocowe pokrywały się na wiosnę białym kwieciami, skalne rośliny oplatały nadbrzeżne głązy, a radosne słońce pukało rano do okien domu, ale noc potrafiła być przerażająca. Zwłaszcza gdy nadchodził sztorm, wzrastał się wiatr, a okiennice głucho dudniły w wypalone słońcem mury. Świsł i skowyt pędzącego powietrza naruszał wtedy spokój zasłon i firanek, z parapetu spadała kamionkowa donica z ledwo rozwiniętymi, malutkimi kwiatuškami azalii. Huk ginął gdzieś pośród jęków wzburzonego morza.

Tak właśnie było pewnego dnia w lipcu, kiedy to zło czające się wokół tajemniczej latarni po raz pierwszy postanowiło zrobić psikusa losowi. Zanim jednak niebo przysłoniły chmury, dzień zapowiadał się na tradycyjnie słoneczny. Viola opalała się na tarasie, co podczas tych wakacji stało się, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jej ulubionym zajęciem. Miała na sobie czerwone bikini z seksownymi falbankami. Włosy trzymała upięte wysoko - tylko dwa fikuśne loki zalotnie dyndały w okolicach jej drobnych, zdobionych złotem uszu. Pomimo średniego wieku wciąż posiadała młodzieńczą figurę, zakodowaną przez los w dobroczynnych genach. Niestety nie znajdowała się na publicznej plaży, gdzie jej wdzięki zostałyby zauważone przez rozochoconych, podstarzałych adoratorów lub ich zazdrosne, krągłe żony. W okolicy latarni nie było przecież nikogo, nawet cholernego, zagubionego turysty. Miejscowi ludzie również z pewnych względów szerokim łukiem omijali to pechowe miejsce. W dali, w półcieniu, na pasiastym leżaku rozłożona była tylko jej pasierbica, która nigdy nie miała i na pewno już mieć nie będzie tak zgrabnej figury jak Viola.

Wałeczki tłuszczu widoczne były nawet z daleka na bladym, wstydzącym się słońca, ciele dziewczyny. Drżącymi rękoma przeglądała kolejny numer kobiecego piśmidła, regularnie czytowanego przez wyemancypowaną Violę. Na okładkach widziała uśmiechnięte panienki, których jedynym zmartwieniem był kruszący się tusz do rzęs. Głupie, puste blondyny zostały zbyt hojnie obdarowane przez los, choć na to nie zasługiwały. Wiodły próżne, bogate i leniwe życie, zbierając pieniądze za coś, co nie wymagało z ich strony żadnego wysiłku, czyli za wygląd. Dziewczyna opalająca się w cieniu latarni takiej szansy nie otrzymała.

A gdyby tak wziąć gwóźdź i namiętym pociągnięciem wyłobić rysy na wizerunku gładkiej cery, poodrywać płaty papieru i pociąć tę nieskazitelną powierzchnię? A potem wydać z siebie udawany jęk przerażenia, patrząc na swoje dzieło destrukcji? Gdzie jest teraz twój wystudiowany uśmiech, ty piękna, pusta dziewczyno z okładki? Zniszczeń nikt nie naprawi, a ty będziesz do końca życia, moje biedactwo, używać drogich pudrów do twarzy i instynktownie chować się do półcienia. W twoich oczach nie zajaśnieje już pewny siebie, zalotny płomyk. Ciężko ci będzie zarobić na życie, na przykład najpierw studiując, potem przechodząc kolejne etapy wyścigu szczurów, w którym niechybnie przegrasz z pierwszą lepszą idiotką o nieskazitelnej twarzy.

Pan domu, niewidoczny z tarasu, prawdopodobnie pracował w swoim gabinecie, gdzie rozstrzygał kwestię obrony jakiegoś wielokrotnego mordercy. Zabawne, bo doświadczenie mówi, że ci wielokrotni zabójcy znacznie rzadziej są łapani niż "jednorazowcy". Wszedł na chwilę na zewnątrz, spodnie od garnituru miały sztywno zaprasowane kanty. Prawnicy tak już mają, że wierzą w ukrytą moc i siłę oddziaływania niewygodnych ubrań.

Traktują je jako dowód zawodowego prestiżu, wysokiej pozycji społecznej, a zarazem wyraz szacunku dla klienta. Wszystko zresztą u tych dobrych, pracujących w zawodzie, prawników już z dala cuchnie sztucznością i błazenadą, którą mami się kasiastych klientów.

Mężczyzna podszedł do żony i pocałował ją delikatnie w policzek. Z jego strony te drobne czułości były naiwnie szczere, tymczasem Viola traktowała je jako należyty hołd dla jej wypielęgnowanego ciała i rzekomo wysokiej inteligencji.

- Zasłony w dużym pokoju są za jasne. Należy je wymienić - stwierdziła nagle ich pasierbica.

- Który pokój uważasz za duży? - spytała Viola ze złośliwych błyskiem w oczach.

- Wiesz dobrze, o czym mówię. Jadalnia jest ewidentnie największa.

- Phi! Ewidentnie! Masz na myśli ten pokój, gdzie jadamy obiady czy kolacje, moja mała? Musisz nauczyć się jasno wyrażać swoje myśli. To pomaga w życiu.

"Mała" przygryzła wargi, starając się opanować złość. Viola zaś świetnie się bawiła, udając, że powstrzymuje śmiech.

- Już nieważne, moja mała. Na szczęście twoja macocha ma dużo inteligencji i cierpliwości. A na dodatek się nudzi. Więc czemu uważasz, że są za jasne?

Dziewczyna z powrotem wlepiła wzrok w zdjęcia modelek z okładki.

- A nie, nic. Tak sobie pomyślałam. Takie duże okna, a w nocy przez zasłonięte zasłony wszystko widać z zewnątrz...

- Kto cię tu będzie oglądał? Myślisz, że każdy od razu chciałby się gapić na ciebie? - głos Violi był miękki i uprzejmy, lecz jej oczy złośliwie zabłysnęły. Podobała jej się ta konwersacja.

Mała machnęła z rezygnacją ręką. Chciała coś dodać, otworzyła nawet usta, ale zmieniła zamiar i szybko je zamknęła. Rozmowa nie jest przecież czynnością, bez której człowiek nie może żyć. Można się łatwo pozbyć tego nieprzyjemnego nawyku kłapania jęzorem i mimo to czerpać z życia minimum przyjemności.

Gdy niebawem na niebie pojawiły się chmury, pan domu zdążył już wyjechać w interesach do miasta, a Viola zrezygnowała z opalania. Wzmógł się wiatr, który złowieszczo kołysał spróchniałymi gałęziami, niebo natychmiast pociemniało. Dwie opalające się kobiety zebrały pośpiesznie swoje manatki i udały się do jadalni. Mała usiadła w rogu pokoju na kanapie z opasłą książką w ręku, Viola zaś stanęła przy zamkniętym oknie, rozkoszując się bezpieczeństwem i spokojem wnętrza latarni.

I wtedy do pokoju wpadła przez okno ułamana gałąź. Rozległ się głuchy brzęk tłuczonego szkła, którego dwa zabłąkane kawałki ugodziły zdumioną Violę w udo i nadgarstek.

- O, kurwa! - krzyknęła z wściekłością, oglądając, jak początkowo cienki i niemrawy, a potem coraz prężniejszy strumień krwi sączy się w dół po jej nodze, aż ku podłodze.

Mała zerwała się w pośpiechu z kanapy, książkę rzuciła w zdenerwowaniu gdzie popadło. Ręce trzęsły się jej ze zdenerwowania, głos drżał w panice.

- Rany!!! - pokrzykiwała, zupełnie nad sobą nie panując i dławiąc się własnymi łzami. - Już dzwonię na pogotowie...! O, Boże... szukam telefonu!... już...zaraz... - biegła zrozpaczona po pokoju, a różne gazety i papiery sfruwały z szumem na posadzkę

- Tylko bez paniki! - rozkazała jej bardziej przytomna w tej chwili macocha. - Uspokój się i podaj mi jakiś materiał. Zatomuję krew.

Mała posłusznie wypełniała polecenia i ściągnęła z okna zasłony. Ścierką do wycierania rąk związały wspólnie niezbyt mocno skaleczony nadgarstek Violi. Mała cały czas przy tym ryczała, z trudem łąpiąc powietrze i trzęsąc spoconymi łapami. Viola tymczasem, co trzeba uczciwie przyznać, zachowała zimną krew i ani razu nie pisnęła z bólu.

Później dopiero, gdy krew ciekła już wolniej, zadzwoniły na pogotowie. Czekając, aż przyjedzie, obie kobiety siedziały na ustawionych naprzeciw siebie kanapach. Viola skupiona, o napiętym wyrazie twarzy, uparcie starała się nie tracić kontaktu z otoczeniem. W takich chwilach zbawienna jest rozmowa, zwykła, nieskomplikowana rozmowa, z kimkolwiek i o czymkolwiek, taka banalna wymiana słów i odrobina uwagi ze strony obu jej uczestników. Mała milczała, częściowo na skutek szoku, częściowo z powodu otępienia i zmęczenia. Nie była zdolna wypowiedzieć ani słowa, co w podobnej sytuacji mogło zdarzyć się przecież każdemu.

Karetka przyjechała bardzo szybko, choć dwóm oczekującym kobietom ta chwila zdawała się wiecznością. W szpitalu pozszywano Violę, zapewniono ją o jej niebywałym szczęściu, gdyż podobny wypadek mógł skończyć się o wiele gorzej, i następnego dnia odwieziono z powrotem do domu. Leżała potem kilka dni w łóżku, pielęgnowana przez troskliwego męża i obsługiwana przez milczącą pasierbicę. Jej łóżko, z pościelą w tandetne różyczki, wystawiono na taras, w półcień nieopodał krzewów głogu, tak, by mogła oddychać wilgotnym w te dni morskim powietrzem. Jej miękkie włosy błyszczały w słońcu jak lodowe igiełki.

Rekonwalescencja przebiegała pomyślnie, toteż jeszcze w lipcu Viola wyjęła swoje porcelanowe ciało z nagrzanego pościeli. Zło czyhające w każdym zacienionym zakątku tylko czekało na taką okazję do dokończenia zaplanowanego dzieła.

Koło latarni, od strony morza, rosła bujna kępa kłujących zarośli głogu. Tuż za nimi ogród przylatarniany kończył się, gdyż zaczynało się już całkiem strome zbocze, pokryte dużymi, ostrymi głazami. Po drugiej stronie latarni położony był zaś rozległy, lecz zaniedbany sad owocowy. Stare drzewa, o gałęziach drżących nawet od oddechu człowieka i pniach powykręcanych artretyzmem, stanowiły naturalną barierę dla ewentualnych intruzów. Domownicy czuli się bezpiecznie w swojej twierdzy.

Któregoś dnia pan domu zlitował się nad na próżno dojrzewającymi w sadzie jabłkami i postanowił przyrządzić z nich jabłecznik. Lubił gotować, będąc na urlopie. W ciągu roku żadne z małżonków nie traciło cennego czasu na pichcenie - zamawiali gotowe jedzenie albo chodzili do restauracji. Czasem jednak, w jakąś długą jesienną sobotę, zdarzało mu się upiec ciasto. W tym był dobry i właśnie w wakacje szkolił swoje umiejętności. Tym razem zamarzył mu się jabłecznik z zaczarowanego sadu.

Zerwał więc odpowiednią ilość jabłek, nieświadomy, biedactwo czekających go konsekwencji, i połączył je z wcześniej przygotowanym ciastem. Wszystko to czynił w oślepiającym słońcu, na tarasie, skąd kątem oka podziwiał pieniaące się fale. Viola, z zabandażowanym nadgarstkiem, trajkotała siedząc na leżaku pod parasolem. A to jej się brak sąsiadów przestał podobać, a to w miasteczku nie ma porządnego solarium! A to sobie mała wreszcie powinna znaleźć jakieś koleżanki. Albo lepiej kolegów. Ona, Viola, będąc w tym pięknym, nastoletnim wieku małej, miała wielu wielbicieli. 'Mogłabyś trochę zadbać o swoje młode ciało.' - mówiła z troską do ciągle coś czytającej pasierbicy. A mała mruczała pod nosem niezrozumiałą odpowiedź.

Pan domu zapytał następnie Violę, czy ciasto ma przyozdobić na wierzchu lukrem. "Jak chcesz" - odparła bez zainteresowania, a potem, gdy pierwsze krople lukru spoczęły na wierzchu ciasta, dodała:

- Oczywiście, że bez lukru! Jest za gorąco, nigdy się nie zastygnie w tym upale. Wiesz co, ty to jednak masz więcej dobrych chęci niż umiejętności w kuchni.

Pan domu zeszkrobał więc nożem z rogu ciasta nie zastygłą jeszcze białą mazię lukru.

Mała głośno przewróciła stronę w książce.

Tak mniej więcej wyglądały codzienne, wakacyjne rozmowy, toczone na rozpalonym upałem tarasie pechowej latarni. Wbrew pozorom nikt tu nigdy nie krzyczał, nie podnoszono głosu, nie złoszczono się i nie obrażano na siebie. Głosy ludzkie zawsze były spokojne, łagodne, zaś nawet nastrojowe słownictwo starannie dobrane, nigdy obraźliwe, czy brzydkie.

Kiedy ciasto jabłkowe było już gotowe, a zapach wanilii kusząco falował wokół ogrodowego stolika, ojciec rodziny odkroił po kawałku dla siebie i swej żony, po czym podał jej ciasto wraz z przelotnym pocałunkiem w usta. Rozpoczęli jedzenie, głośno mrucząc i mlaskając z zadowolenia.

Mała musiała zatem sama siebie obsłużyć. Odłożyła na bok Nietschego, którego właśnie czytała i zbliżyła się do stolika z ręką wyciągniętą w stronę ciasta. Morze był tak tandetnie lazurowe.

- Mając twoją skłonność do tycia, nie jadłabym tego ciasta - powiedziała wtedy Viola troskliwie, gryząc jabłecznik jedną połową szczęki.

Wyciągnięta ręka zamarła.

Dalsze wydarzenia potoczyły się zadziwiająco szybko:

Nadleciała mewa - tak niespodziewanie, że całe towarzystwo aż drgnęło z zaskoczenia. Jakiś ukryty trybik w z góry w zaplanowanym ciągu losowych zdarzeń nagle przeskoczył. Lekki, ogrodowy stolik z jabłkowym ciastem gwałtownie runął na kamienny taras, jakby poderwany niewidzialną ręką. Zrobił to z taką siłą, że faktycznie mógł być celowo wprawiony w ruch energicznym pociągnięciem dłoni. Znowu rozległ się huk tłuczonej porcelany i szkła. Ciasto, nagle przekształcone w bezkształtną, rozczłonkowaną melasę, podobną do rozgniecionego obcasem mięsa, pokaleczyło się ostrymi odłamkami zastawy stołowej.

Cała trójka ani drgnęła. Viola znajdowała się najbliżej zdarzenia, rozłożona na leżaku, z wciąż nie przełkniętym ciastem w ustach. Pan domu stał, odwrócony bokiem do pozostałych, przy barierce tarasu. Mała tkwiła na środku tarasu nienaturalnie wyprostowana, z rękoma bezwładnie zwieszonymi jak u stracha na wróble. Była taka zdumiona. Nie, te bezradne i wiotkie kończyny nie mogły przewrócić stolika. Tu działał ślepy los, przysłowiowy przypadek, albo siła czarnych mocy ukrytych w zaroślach, kołatających w okiennice, prześlizgujących się po nadbrzeżnych gładkach - to właśnie magia tego miejsca, które raz już widziało nagłą śmierć.

Pierwsza oczywiście zareagowała Viola. Tym razem dość nieporadnie usiłowała ukryć nasilające się uczucie strachu.

- Ktoś tu usiłuje mnie zagrzebać w odłamkach szkła - podsumowała i zaczęła się sztucznie śmiać.

I ten jeden raz miała rację.

Tymczasem pan domu nawet nie starał się ukryć zdenerwowania. Dla niego sytuacja była jasna.

- Dlaczego przewróciłaś stolik? - zwrócił się do córki.

Mała gwałtownie wciągnęła powietrze. Powstrzymywała wybuch płaczu i inne oznaki nagromadzonych emocji. Nigdy nie umiała się bronić, ani słowem, ani czynem. Biedne, zastraszone zwierzątko - jej palce były kurczowo zgięte, zastygłe, jakby zalane betonem.

Była nieprzekonująca i smutnie śmieszna, gdy chaotycznie tłumaczyła:

- Tato, to nie ja... Nawet nie dotknęłam tego stołu... Naprawdę. Nie ja... Jak mogłabym?...

Fale z uspokajającym szumem sięgały brzegu. Okolica emanowała głębokim spokojem milczącej i obojętnej przyrody. Ojciec zatopił wzrok w dalekim horyzoncie morza.

- Teraz przynajmniej to sprzątnij - rozkazał po chwili roztrzęsionej córce.

Mała pobiegła, cała w hamowanych konwulsjach, po szufelkę. Potem sinymi palcami zgarniała roztraskaną o bruk porcelanę. Viola wstała, przeciągnęła się i śmiejąc się sarkastycznie powiedziała do pasierbicy:

- Zatem nie będziesz już mogła ukradkiem podjadać ciasta...

Mała zagryzła wargi, a wzrok jej padł na ciężkie buty ojca. Zgadza się, mała nie zje już tego ciasta, przekładanego jabłkami z zaczarowanego ogrodu, co się akurat bardzo dobrze składa. Bo to ciasto było zatrute.

3.

Pod wieczór niebo nabrało typowego różowawego odcienia. Morze uspokoiło się. Złotawe odbłaski na falach płynęły spokojnie, tworząc jedwabistą drogę ku horyzontowi i wielkiemu, zaczerwienionemu słońcu. Zbliżał się zachód słońca, jak zwykle urokliwy i ciepły. Ogród wyludnił się. Sprząty usunięto z tarasu. Okna i drzwi pozamykano. Zapanowała kłująca w uszy, nieprzenikniona cisza. Tak jak przed burzą, choć nic burzy nie wróżyło. Na tarasie pustka. Dziwne objawy jak na naszą spragnioną słońca rodzinę. Od potłuczenia talerzy z ciastem minęły już przecież dwie godziny i nic nowego się w tym czasie nie stłukło. Żaden przypadkowy kamień nie rozbił kruchej powierzchni, nikogo nie zraniła rozbrykana gałąź.

Tak tu spokojnie. Aż się wierzyć nie chce, że miejscowi ludzie szerokim łukiem omijają malowniczą latarnię. Pewnie z powodu tych głupich przesądów. W oddalonym o siedem kilometrów miasteczku mówi się od lat, że latarnia jest miejscem pechowym lub nawet nawiedzonym. Niezliczone barwne historie krążą wśród starych, zacofanych bab i małych dzieci. Według jednej z nich na górze latarni podczas pełni straszy biała pani, która zapala światło dla przepływających statków i zabłąkanych plażowiczów. A latarnia jest przecież od trzydziestu lat nieczynna. Historie te mają więc, jak widać, pewien urok, a są na tyle rozpowszechnione, że nasza rodzinka musiała je już choć raz słyszeć, na przykład robiąc zakupy w najbliższym sklepie.

Teraz wszyscy siedzieli w domku przy latarni, szczelnie oddzieleni od świata zewnętrznego. Dom ten miał jedno piętro i nieużytkowe poddasze, a od wieży latarni dzieliła go gruba na prawie metr ściana, w której Edgar Allan Poe bez trudu zdołałby zamurować zwłoki. Może zresztą tam były, ale jakoś nikt nigdy nie kwapił się, by to sprawdzić. Pomiędzy wieżą latarni a wspomnianym domkiem mieszkalnym nie było, niestety, żadnych drzwi, więc by dostać się na kręte schody latarni należało najpierw wyjść z domu na taras. Inna droga nie wchodziła w rachubę, a drzwi prowadzące z tarasu do latarni były ciężkie, masywne i czasem trudne do pchnięcia, zwłaszcza od wewnątrz. Zamku nikt dawno nie używał, toteż zapewne już zardzewiał. Ponieważ zaś nasza pechowa rodzinka nie lubiła wysiłku fizycznego (podobnie, jak i umysłowego), przeto nigdy nie spróbowała nawet sprawdzić, co kryje w sobie wieża.

A szkoda, bo choć na schodach latarni, ze względu na poobtłukiwane żarówki i małe okienka, było wciąż ciemno, to na samej górze znajdowało się urocze okno z osobliwym witrażem, przez które można było podziwiać bezkresny krajobraz. Witraż ten położony był od strony brzegu morskiego i łączywie chwycił zarówno pierwsze, jak i ostatnie promienie słońca, przetwarzając je jak gdyby w kalejdoskopie. Te kolorowe fragmenty szkła przedstawiały podobno diabła morskiego, który wieczorem nabierał od wewnątrz krwisto -

fioletowego zabarwienia, a dwa czarne punkciki jego oczu świeciły jak u kota. Diabeł morski obserwował i oceniał krajobraz. Miał szerokie pole widzenia.

Wieczorem Viola i jej mąż poczuli nasilające się objawy zatrucia pokarmowego. Otworzono okna, by wpuścić trochę orzeźwiającego, morskiego powietrza. 'Coś ty dodał do tego przeklętego ciasta?' - skamlała fioletowa na twarzy Viola, siedząc z mężem po przeciwnych stronach długiego, dębowego stołu w jadalni. Powoli zapadał zmrok. Światło z okien zaczęło tworzyć poświatę, padającą na chropowatą powierzchnię tarasu. Coś malutkiego błysnęło na tle betonu - nie sprzątnięty odłamek porcelany z przewróconego stolika jaśniał niczym diament. A może to odbłask oczu diabła morskiego zaglądał w nieprzystłonięte zasłoną okna?

Viola i jej mąż byli naprawdę chorzy. Co chwila biegali do ubikacji, gdzie zapewne ściskali z czułością chłodną muszlę klozetową. Potem wracali do jadalni zniesmaczeni, potargani, z kwaśnymi uśmiechami na sinych twarzach.

- A tobie nic nie jest? - wycedziła słabo Viola do małej, która ze spokojem przygotowywała herbatę. Dwie parujące szklanki stuknęły o masywny blat stołu.

- Nie - odparła dziewczyna obojętnie i poprawiła czerwone spinki wpięte we włosy. Niewielkie, owalne lustro wisiało przy drzwiach. - Napijcie się herbaty. Może wam pomoże.

- Oby.

Nikt nie wspomniał nawet słowem o feralnym cieście jabłkowym, co w danej chwili było całkiem widowiskowe. Każdy jednak w głębi duszy jemu właśnie przypisywał całą winę. Całkiem słusznie, jeśli by przypomnieć sobie uważnie posiłki spożywane bezpośrednio przed zatruciem oraz osoby biorące w nich udział. Cóż, nic w przyrodzie nie dzieje się bez przyczyny, a nie wszystkie jabłka bywają zdrowe. Niektóre są po prostu niedojrzałe, inne zaś zatrute.

A czas płynął i płynął...

Godzinę potem mała, siedząc po turecku na swoim wąskim łóżku, oparta plecami o chłodną ścianę i czytająca kątem oka Nietschego, ujrzała w oknie strumień światła, przesuający się w oddali po falach morskich. Zjawisko to zachwytiło ją swą trudną do opisaną ciepłą barwą, jakże daleką od codziennej bieli. Światło poruszało się szybko w lewo, później w prawo, znów w lewo, i znów w prawo, i znów w lewo, coraz szybciej. Zdawało się wydobywać spod ciemnej linii horyzontu. A może padało z góry? Nie wiadomo, lecz przykuwało wzrok małej, hipnotyzowało go, a jej zmysły wprawiało w rytmiczny trans. Przez chwilę tkwiła w nieruchomej pozycji, z oczami martwo skierowanymi w okna. Dopiero ledwo słyszalny, stłumiony jęk rodziców, dochodzący z sąsiedniej jadalni, wyrwał ją z otępienia. Wstała energicznie i zaczęła czegoś szukać na półkach. Zajrzała między książki prawnicze, obmacała parapety. Wreszcie wygrzebała z walizki ojca jego telefon komórkowy. Przy okazji wyrzuciła z torby zadziwiający jak na uporządkowanego prawnika bałagan: papiery, długopisy, okulary i inne śmieci wysypały się ze stukiem na łóżko, tworząc stożkowate zwałisko.

Z telefonem przy uchu przeszła do jadalni, gdzie na kanapach leżeli jej półprzytomni rodzice.

- Poproszę karetkę do latarni. Dwa przypadki zatrucia. Nie. Nie umierają jeszcze. Dziękuję.

Rozmowa skończona. Potem powolnymi ruchami, niby od niechcienia, zaczęła ładować papiery ojca z powrotem do aktówki. Nagle podniosła z podłogi kartkę papieru, która ją zainteresowała. Zdjęcie. Przysunęła je bliżej do twarzy, zamarła. Cała jej postawa sygnalizowała wzburzenie - od razu widoczne u osób tak ostentacyjnie obojętnych jak nasza mała. Zapaliła stojąca przy oknie lampę i usiadła na parapecie, plecami do szumiącego morza i ciemności. Długo trzymała to czarno-białe zdjęcie w dłoni. Był na nim jej ojciec, znacznie młodszy i ładniejszy niż ten cierpiący na niestrawność człowiek w jadalni. Za nim, pośród jasnego nieba i barankowatych chmur, błyszcząca od letniego słońca, stała znajoma latarnia. Dokładnie ta sama, samotna

wieża, której właścicielami stali się jej rodzice zeszłego miesiąca. Tylko że pewien nieznan, intrygujący szczegół przykuwał uwagę. Na górze latarni mała dostrzegła bowiem ów owalny witraż z diabłem morskim - daleki i rozmazany na czarno-białym zdjęciu, lecz mimo to interesujący. Nigdy wcześniej go nie widziała.

4.

Sanitariusze wynieśli na taras dwa z trudem oddychające ciała. Wewnątrz latarni zepsuł się akurat generator prądu, a może korki wypadły, i w związku z tym panowały tam zupełne ciemności. Taras przed domem oświetlał zaś obły, bład księżyc, który wisiał tego dnia nisko i rzucał na spokojne morze przytłumioną poświatę. Białe kitle sanitariuszy i lekarzy widoczne były nawet z daleka. Ich głosy wzburzyły ciężkie powietrze.

- Proszę się nie martwić - pocieszała dziwnie opanowaną małą.

- To tylko lekkie zatrucie. Pani matka znajduje się w lepszym stanie.

Mała wydała z siebie westchnienie wyrażające ulgę.

- Tak, sądzimy, że hospitalizacja w jej wypadku nie będzie konieczna.

- Jasne, damy jej teraz lekarstwa, wcześniej dziś pójdzie spać i tyle.

- A pani ojca musimy zabrać na badania.

Dziewczyna wstrzymała oddech.

- No cóż, zapewne zjadł więcej tej niezdrowej potrawy.

- A co jedli, czego pani nie jadła?

Cień uśmiechu zawstydzenia przemknął po twarzy małej.

- Zatem proszę nam przynieść resztki tego ciasta, poddamy go analizie.

Uśmiech małej się rozszerzył.

- Tak, proszę pani, wiemy, że nawet najzdrowsza potrawa, wyciągnięta z kosza na śmieci, traci swe walory i mogłaby uśmiercić samym swym zapachem kompanię marynarzy. Ale proszę ją przynieść.

Jeden z lekarzy, grubawy trzydziestopięciolatek, bez przerwy gadał. Usta mu się nie zamykały ani na chwilę, nawet kiedy wykonywał trzy różne czynności na raz:

- To pechowe miejsce, proszę pani - mówił, aplikując Violi jakieś lekarstwo. - Ja wtedy byłem małym dzieckiem, gdy to się stało. Straszna śmierć, kobieta miała skręcony kark i poranione ciało. Leżała dokładnie tutaj, gdzie teraz nosze z pani ojcem... hmm... Proszę wybaczyć to niestosowne porównanie. Sytuacja pani ojca jest oczywiście o niebo lepsza i, jak już mówiłem, ani jego życiu, ani zdrowiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Tamta historia należy zaś do przeszłości. To był po prostu nieszczęśliwy wypadek... - proszę tu potrzymać, o tak, bardzo dobrze, dziękuję - Chociaż dzieci zmarłej nie przyszły nawet na pogrzeb. Nie zapłakały nad zmarłą matką, nie oddały jej tej ostatniej przysługi... - już kończymy, zaraz będziemy mogli odjechać - nie ma sensu, by pani jechała z ojcem do szpitala, a pani matka jest na to za słaba. Proszę tu poczekać do jutra rana i popilnować chorej. A w razie czego natychmiast dzwonić.

Mała była zbyt skołowana, by móc się przeciwstawić. Grzecznie wykonywała wszystkie polecenia gadatliwego lekarza, który zresztą wydał jej się godny zaufania. Zwracał się do niej tak, jak do dorosłej,

odpowiedzialnej osoby, co tak rzadko przytrafiało się pełnoletniej już przecież 'małej'. Jej świeżo odebrane świadectwo dojrzałości leżało dumnie na nieużywanym biurku w sypialni.

W końcu odjechali. Zapanowała cisza, bardziej nawet dotkliwa niż zazwyczaj. Ciemność potrafi nie tylko działać przygnębiająco na zmysły ludzkie, ale także stymuluje do nietypowych zachowań. Mała, na przykład, stała teraz w półotwartych drzwiach, z długim papierosem w dłoni i spoglądała nieco mętnym wzrokiem w ciemne zarośla. Oparła się o futrynę, po czym wprawnym ruchem ręki strzepnęła na taras wałeczek popiołu. Wyglądała tak, jakby rozkoszowała się pięknem tej ulotnej, nocnej chwili błogiego spokoju. Macocha, już przytomna, w znacznie lepszym stanie niż poprzednio, leżała na kanapie, usiłując spać.

Znużonym głosem odpowiedziała na zapytanie pasierbicy o czarno-białe zdjęcie sprzed 30 lat. "- Ojciec był tu kiedyś w okolicy na wakacjach, kiedy jeszcze był studentem." Więcej mała dowiedzieć się nie mogła. Swobodnie paliła papierosa i wlepiła wzrok w fale.

Morze, księżyc, gwiazdy, ciemny granat nieba - wszystko to kusiło zmysły i napawało je ekstatyczną wręcz radością. Ten cholernie daleki horyzont symbolizował nieludzkie wyzwania, jakie proponuje ludziom soczysty, świeży świat. A każdy krok naprzód stwarzał tyle możliwości...

- Martwię się o niego. Jutro rano, jak tylko będę mogła prowadzić samochód, pojedziemy do szpitala. Ty też mogłabyś wreszcie zrobić prawo jazdy, mała.

- Aha...

- I wiesz co? Nie chcę już tu mieszkać. Potrzebuję miasta. Wyjadę jak najszybciej - Viola lepiej już wyglądała. Wstała nawet i podeszła do okna. Jej twarz jaśniała księżycowym blaskiem. Spojrzała na pasierbicę. - Nie wiedziałam, że palisz.

Mała wyduła wargi.

- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. Nie jestem grzeczną dziewczynką - podkreśliła, patrząc Violi w oczy. Macocha uśmiechnęła się wyzywająco na swój stary, cyniczny sposób.

- Oj, mała... Znam cię lepiej, niż ci się wydaje. Jesteś grzeczną dziewczynką o miękkim sercu. Czasem się zgrywasz, ale przede wszystkim mało w tobie odwagi. Musisz uważać, bo jesteś typowym okazem kozła ofiarnego. Może kiedyś z tego wyrośniesz.

Jak się później okazało, Viola znów miała rację. I to jak okrutnie.

- Zebrało ci się na szczerość! Znalazła się wróżka - fuknęła dziewczyna z narastającą złością. - Żebym tylko ja nie powiedziała czegoś pochopnie o tobie....

- No dalej... Dlaczego milczysz? Może napijemy się wina?

Nie powinno się pić alkoholu, będąc w rozchwianym żółdkowym stanie Violi. Mała napełniła dwa smukłe kieliszki. Cały czas obie panie stały w drzwiach prowadzących na taras.

- Nie widzę noży, które wisały na ścianie - zauważyła dziewczyna mimochodem.

Viola zaczęła wyraźnie działać na swoją niekorzyść:

- Nie szkodzi, a kto ich teraz potrzebuje? - zaśmiała się beztrudnie - Wiesz co, mała, jesteś ostatnio zestresowana. Idź może na jakiś krótki spacer po plaży, albo co. O, wiem! Idź do sklepu przy przystani. Albo weź rower. To tylko 2 kilometry. Kupisz papierosy, bo się kończą, a przy okazji się wyżyjesz...

Mała wypita kieliszek wina jednym łapczywym łykiem.

- Właściwie, czemu nie? - syknęła - Tylko zamknij drzwi, bo tu podobno straszy.

- Ja się nie boję. Nie wierzę w przesady.

- Och, jaka twarda - podsumowała jadłowicie mała i wsiadła na rower.

Viola patrzyła spokojnie, jak pasierbica szybko znikła z pola widzenia. Ponieważ nie było prądu, postawiła na stole trójramienny świecznik, zapaliła też dużą ręczną latarkę. Szkoda, że ciemność nie pozwalała się pakować, bo Viola zapewne nie mogła się już doczekać wyprowadzki ze swojej romantycznej latarni. A to były ostatnie chwile jej życia. Posiedziała trochę przy stole w jadalni, gdzie zauważyła rzeczywiście brak kolekcji noży ze ściany i dokończyła kieliszek wina. Ostatni w jej nędznym, zbędnym życiu. Mogła być bardziej przezorna, jak na osobę, która jeszcze dwie godziny wcześniej została celowo podtruta pewnym środkiem chemicznym. Ja bym bardziej uważała na jej miejscu. Ale nie było jej to pisane, by umrzeć tak banalnie, szybko i, w gruncie rzeczy, bezboleśnie. O, nie.

Postawiłam obie nogi na tarasie. Trochę mi ścierpły od tego ciągłego chowania się po krzakach w niewygodnej pozycji. Czułam podniecające mrowienie, gdy podchodziłam cicho do okna, trzymając pod kurtką pistolet, a w torbie kolekcję ściennych noży. Każdy moment tego wieczoru był przeze mnie szczegółowo zaplanowany. Ruchy 'małej' były wprawdzie trudne do przewidzenia, ale instynktownie wiedziałam, że w pewnej chwili oddali się od koszmarnej Violi na tyle daleko, bym mogła zbliżyć się ja. Viola ją zdenerwuje swą wyrachowaną złośliwością, a słaba z natury mała zamknie się w swoim pokoju. Rozwój sytuacji przeszedł jednak moje oczekiwania. Nie mogłam się też zdecydować czy straszyć dłużej rzucanymi kamieniami, tłuczonymi szybami i tego typu sztuczkami, czy może chodzi mi po prostu o śmierć Violi. Bo to, że ona umrze, wiedziałam od chwili, gdy postawiła swą walizkę na tarasie. Nie wiedziałam tylko, jak szybko to nastąpi, a z biegiem czasu zaczęłam nudzić się tą grą. Wstrzymałam oddech, bo Viola akurat wstała od stołu i poszła na chwilę w głąb domu. Czekałam w skupieniu na odpowiedni moment. Pragnęłam zakończyć już tę historię. Nie ma sensu czekać na lepszą okazję, skoro ta jest całkiem dobra. Tak..., ostatnio wciąż byłam zajęta przez to wszystko. Nie miałam nawet czasu zrobić sobie śniadania, he, he. Czasem w ogóle nic nie jadłam przez cały dzień, zgięta w pół przez kilka długich godzin bez przerwy. Ale opłacało się, bo ta okrutna zabawa dała mi sporo radości.

Zatem przejdźmy do rzeczy. Dzieło należy dokończyć. Zwłaszcza, że tyle czasu i energii mu poświęciłam.

Głupiutka Viola nie zamknęła drzwi, więc wślizgnęłam się bez problemu, gdy poszła do ubikacji. Niestety nie mogłam wymyślić rozsądnego sposobu, by wywabić ją na górę wieży bez zastosowania przymusu. Właśnie wychodziła z ubikacji, gdzie, o ironio, dokonała ostatniej swobodnej czynności przed śmiercią. Przyłożyłam jej lufę pistoletu do nagranych pleców. Wiedziałam, że się nie wymknie.

- Ręce do góry! Spokojnie - rozkazałam zimno.

- O co chodzi, kto to? - krzyknęła przerażona Viola, usiłując się obrócić.

Chciałam uderzyć ją w twarz, ale mogłaby wtedy stracić przytomność i nie zdołałabym zaciągnąć jej na górę wieży. A na pomoc małej liczyć nie mogłam. Była mimo wszystko zbyt pocziwa. Na dodatek znajdowała się dość daleko. Zabawne, tak to dokładnie zaplanowałam, miałam być okrutna, znęcać się, sprawiać stopniowe cierpienia, patrzeć, jak moja ofiara błaga mnie o szybki koniec. A tu mój zapał niepokojąco małał.

- Idź spokojnie, to nie skaleczę cię nożami - zapewniłam dobrodusznie i pchnęłam Violę lufą pistoletu w kierunku wyjścia na taras. - Do wieży!!!

- O co chodzi, kim jesteś? Puść mnie...

- Rób, co każę.

- Przecież drzwi do wieży są zamknięte.... Ratunku!!! Aniu!!! Aniu!!! Na pomoc!

Próbowała się wyrwać, ale trzepnęłam ją po uchu.

- Więc ona ma na imię Ania? Ładne imię. Nie usłyszysz cię. A nawet gdyby, to nie jestem przekonana, czy przyjdzie ci na ratunek...

Kłamałam. Mała mogła w każdej chwili wrócić, a ja, przyznam się, ciekawa byłam jej reakcji. W gruncie rzeczy pozytywnie mnie na koniec zadziwiła, ale o tym później.

Drzwi do latarni wcale nie były zamknięte, bo je wcześniej otworzyłam.

- Masz klucz? - wycodziła Viola

- Oczywiście - odparłam uprzejmie. - I to znacznie dłużej niż ty.

Wchodziliśmy po stromych stopniach. Oddech mej ofiary przyspieszył zabawnie, jej ciało drżało, włosy przyklejały się jej do czoła. Naprawdę się bała, a o to właśnie, do cholery, mi chodziło. W pewnym momencie wypięła swój zgrabny tyłek w ten sposób, że prawie straciłam równowagę i runęłabym niechybnie w dół schodów, gdybym nie zdołała oprzeć się o ścianę. Za karę uderzyłam ją w ramię pistoletem. Jęknęła.

- Następnym razem strzelę, idiotko - wysapałam. - Nie ułatwiasz mi zadania.

Wreszcie znalazłyśmy się na górze. Niewiele się tu zmieniło od czasu, gdy byłam tu po raz ostatni. Nieduże pomieszczenie zawierało plątaninę kabli, przewodów i urządzeń, dwa proste krzesła oraz metalową szafę, pozornie tylko zamkniętą na kłódkę.

Pchnęłam Violę w stronę krzesła stojącego pod witrażem. Nie zwróciła w ogóle uwagi na piękno tego owalnego okna o fioletoawych odbłaskach, omiotła tylko wnętrze latarni przestraszonym wzrokiem i pacnęła tyłkiem na krzesło.

Cały czas trzymałam pistolet wycelowany w jej delikatne ciało. Trzęsło się nadal ze strachu, choć pierwszy szok miała już za sobą. Zapaliłam wewnętrzną lampę o silnym, białym świetle, która jaśniała bez względu na przerwy w dopływie prądu. Byłam taka spokojna i pewna siebie, żadna tam galaretowata, rozhisteryzowana panienka, potrząsająca w panice pistoletem. Zachowywałam się jak zimnokrwista i żadna krwi profesjonalistka.

Viola łkała cichutko. Taka bezbronna, unieruchomiona kobieta naprzeciwko mnie! A gdzie jest teraz pewna siebie kobieta sukcesu, co?

- Nie płacz. Porozmawiajmy - Zachęciłam ciepło. Starłam się nadać memu głosowi jak najprzyjemniejszą barwę.

- Dlaczego? Dlaczego? - usłyszałam w odpowiedzi tendencyjne pytanie, zręcznie wplecione pomiędzy słabnące łkania.

- Radzę ci nie ruszać się zbyt, bo mogę wystrzelić.

Płacz ustawał. Viola usiłowała myśleć, jakby tu się wykaraskać z tej niekorzystnej dla siebie sytuacji. Jej planem było zapewne przeciąganie rozmowy ze mną jak najdłużej, by jej pasierbica zdążyła powrócić z nocnego spaceru i przyjść jej z pomocą. Co za pech! - dokładnie taki sam plan miałam aktualnie ja.

Rozchyliłam poły obszernej marynarki, pod którą trzymałam cztery noże kuchenne ukryte w specjalnych, bezpiecznych dla mojego ciała przegródkach. Zdjęłam je wcześniej ze ściany w kuchni mojej ofiary, a ich brak szybko zauważyła spostrzegawcza mała - odtąd znana jako Ania. Każdy z noży był innej wielkości, jeden z nich miał finezyjnie zakończone ostrze w kształcie zakrętasa - pewnie służył do patroszenia ryb. Od razu przykuł moją uwagę i przypadł mi do gustu. A ponieważ wieczór ten, tak idealny dla wykonania mojego nikczemnego planu, nadarzył się całkiem niespodziewanie, dałam się ponieść słodkiej improwizacji. Scenę końcową całego tego beznadziejnego przedstawienia wielokrotnie widziałam w swojej rozpalonej wyobraźni - czasem jawiła mi się niespodziewanie, podczas spaceru po plaży czy przy budce z lodami, czasem celowo wywoływałam ją z zakamarków świadomości - ale nigdy nie wyobrażałam sobie krok po kroku wszystkich szczegółów. Podstawowym mym zamiarem było bowiem w po prostu w bestialski, okrutny sposób pozbawić koszmarną Violę jej nic nie znaczącego życia i uwolnić biedną Anię od ciągłego prześladowania ze strony macochy.

- Zobacz - Pokazałam Violi noże. - Siedź spokojnie, nie wierz się, nie próbuj uciekać. Chyba, że skoczysz samodzielnie z wieży, he, he... - zaśmiałam się - Nie chcesz chyba zostać zraniona jednym z tych ostrzy, co?

Milczała.

W jednym ręku trzymałam pistolet, w drugim nóż do ryb, zasłaniałam sobą drzwi prowadzące na schody. Jakby to powiedzieć - słabe szanse na ucieczkę pozostawiłam pięknej Violi.

- Wiesz, kiedy to planowałam - mówiłam spokojnie, a moja ofiara słuchała w napięciu - kiedy to planowałam, widziałam ciebie pociętą, ze skórą odstającą od szyi i twarzy, tarzającą się we krwi po posadzce górnego tarasu - na dźwięk moich słów Viola zatrzęsała się spazmatycznie. - Tak więc potem zamierzałam dokończyć dzieła i wypchnąć cię z wieży na dolny taras. Leciabyś jak barwny, ranny ptak - spojrzałam w morze. - Chyba jednak się przeliczyłam. Mam w gruncie rzeczy delikatną naturę.

Bawiła mnie ta sytuacja, gdzie wreszcie to ja mówiłam i mówiłam, i mówiłam... a człowiek naprzeciwko mnie z uwagą słuchał. Nieczęsto mają miejsce podobne sceny. Nie chciałam powstrzymywać słów nareszcie swobodnie płynących mi z ust.

- Pytasz: Dlaczego. Otóż odpowiem ci z przyjemnością. Zadawaj zresztą wszystkie pytania, jakie przyjdą ci do głowy. Nie krępuj się - uśmiechnęłam się zachęcająco.

Nie czekałam jednak na jej odpowiedź i kontynuowałam grzecznie.

- Otóż irytujesz mnie, moja panno, i to już od dawna. Od kiedy po raz pierwszy postawiłaś swoją delikatną nóżkę na dolnym tarasie mojej latarni.

Celowo przerwałam. Odłożyłam nóż na krzesło obok i wyjęłam paczkę mocnych papierosów.

- Zapalisz? Jasne, że zapalisz - zdecydowałam za Violę, która wpatrywała się we mnie otępiłym wzrokiem. - Dobrze ci zrobi trochę nikotyny, he, he.

Rzuciłam jej na kolana otwartą paczkę i zapalniczkę.

- Tylko bez żadnych numerów. Wszystko kontroluję - zagroziłam jej, celując lufą pistoletu prosto w jej aksamitne czoło.

Zadziwiająco, lecz nie przejawiała już buntu, a jej ciało jakby opadło z sił. Posłusznie wyciągnęła z paczki papierosa i zapaliła. Przez chwilę obie delectowałyśmy się gorzkim dymem. Rzekomo wysoka inteligencja Violi

gdzieś znikła - ta głupiutka, pusta kobietka najwyraźniej nie wiedziała, że istniał prosty sposób, by zdobyć nade mną kontrolę nawet bez wstawania z krzesła. Musiałam jej bowiem powiedzieć to, co miałam do przekazania, zanim użyłabym pistoletu. Mogła się nawet na mnie rzucić z pięściami, a ja nie strzeliłabym, dopóki trwała nasza rozmowa. Mogła mnie prowokować do strzału także słowami, a ja nie wystrzeliłabym, bo nie nadszedł na to jeszcze odpowiedni czas. Tymczasem kiedy już durna Viola pozna się na mojej grze, bo wszystko jej celowo objaśnię, jej bunt ucieszy mnie i skutecznie spowoduje do strzału. Będzie za późno.

Podobało mi się to żałosne przedstawienie, ale nawet przyjemne dla człowieka chwile muszą kiedyś mieć swój koniec. Kontynuowałam więc rozmowę.

- Obserwowałam cię, Violu. A właściwie was. Waszą trzyosobową "rodzinę". Uprzykrzasz wszystkim życie, wiesz? A zwłaszcza biednej Ani. Niszczysz ją, dokuczasz jej złośliwie, a ona nie jest w stanie się obronić. Tak się nie postępuje z ludźmi... - w tym momencie Viola zasygnalizowała, że chce mi przerwać, ale ja musiałam przecieżyć skończyć zdanie. - Pozwól mi skończyć. Ania cię nienawidzi, miło ci z tym? Jesteś na tyle głupia, że tego nie widzisz? Doskonale wiem, jak ona się czuje i do końca życia będzie to pamiętać. Nie mogę na to pozwolić, rozumiesz, ty wstrętna idiotko? Chcę ją oswobodzić.

Trochę się uniosłam, zupełnie niepotrzebnie. Nabrałam naglej ochoty na uderzenie Violi w twarz, a potem wykonanie pierwotnego, okrutnego planu. Wtedy Viola zadała pierwsze pytanie. Przewidziałam je.

- Za kogo ty się uważasz, że możesz decydować o życiu i śmierci ludzi??? - jej oczy wpatrywały się we mnie przenikliwie. Wypuściła z ust kłębuszek dymu tytoniowego i dodała ekstatycznie. - Ludziom nie wolno decydować o śmierci innej osoby!

Uśmiechnęłam się delikatnie. Ach ta głupiutka, naiwna Viola! Odzyskiwałam spokój wewnętrzny.

- Violu, kochanie - odparłam. - Są dwie kategorie osób, które mogą decydować o śmierci innych. To wariaci i pisarze.

Wypowiadałam te słowa powoli, ciesząc się każdą kolejną głoską wychodzącą z mojej krtani. Viola również była opanowana, dostrzegłam nawet w jej oczach znajomy, nieco złośliwy błysk, gdy pytała:

- A ty do której z tych dwóch grup się zaliczasz?

Dobre pytanie.

- Nie do mnie należy decyzja w tej sprawie - odpowiedziałam.

- Tak? To może ja cię uświadomię. Dla mnie jesteś wariatką.

Zaśmiałam się triumfalnie, po czym zgasiłam papierosa na nierównej powierzchni krzesła. Przeszła mi już chęć zrobienia tego na policzkach Violi.

- O! Doprawdy? He, he... ależ to oczywiste, że z twojej perspektywy jestem wariatką, droga Violu - oznajmiłam. - Nigdy tego nie negocjowałam i już nie zaneguję.

Starłam się wyrzeć przez okno, a jednocześnie nie spuszczać z oka Violi. Ania mogła rzeczywiście popsuć mi plany swoim niespodziewanym powrotem. Nie chciałam jej zabijać, ale nie mogła mnie przecież zobaczyć.

- Zaraz, zaraz... - kombinowała Viola, a na jej czoło wystąpiły kropelki potu. - Już wiem, kim jesteś! Czytałam taki wycinek ze starej gazety, a i miejscowi opowiadali mi tę historię. To twoja matka umarła tu przed laty. Mam rację? - usiłowała coś powiedzieć, ale umilkła. Bała się popełnić wobec mnie nietakt. Mógł ją przecież kosztować życie.

- Skoro tak twierdzisz... Ty to powiedziałaś - opowiadałam, cedząc słowa. To niezłe wytłumaczenie mojej obecności. Zaczęłam wczuwać się w rolę. Uśmiechnęłam się. - Przez całe moje pięćdziesięcioletnie życie nikt, nawet najbliższe osoby... nie mogły mnie zrozumieć - opowiadałam - Rozmowy dotyczyły pogody. Nikt mnie nigdy nie słuchał... Twój mąż był takim miłym chłopcem, kiedy był tu pewnego lata na wakacjach - snułam swoją żalospisną opowieść - Ale to nie dlatego to robię. - mówiłam pewnie, bez śladu emocji w głosie. Całe życie przecież trenowałam. - To nie ja ją zabiłam. Popełniła samobójstwo... Była piękną, inteligentną alkoholiczką i tyle. Ale skrycie się cieszyłam... Hmm... Nie zamierzam stawać się sentymentalna, droga Violu. Takie jest życie, a raczej śmierć, o czym się zresztą zaraz przekonasz.

Viola znów była spokojna. Miała pewnie nadzieję, że skoro gładzę o sobie, robię się sentymentalna i brnę dalej w rozmowę, to może odejdzie mi ochota na zabijanie. Myliła się. Plan jest planem - trzeba go wykonać, skoro tyle wysiłku włożono w jego realizację.

- Słuchaj... - zaczęła miękko. - Może puścimy to wszystko, co tu zaszło, w niepamięć? I tak zamierzałam się wyprowadzić. Dostałabyś swoją latarnię z powrotem. Nikt by ci nie przeszkadzał w niczym. Żadnego pozwu do sądu itd. Znikamy ze swojego życia i nigdy się już nie widzimy, ok?

Zaciągnęłam się kolejnym papierosem. Viola nadal niewiele rozumiała. Moje słowa brzmiały pewnie bardziej żywiotowo, niż poprzednio, kiedy tłumaczyłam:

- Ależ droga Violu. Wierz mi, bardzo mi przykro, ale nie mogę odstąpić od poprzednich zamiarów. Każda historia rządzi się swoimi prawami i zmierza do pewnego punktu kulminacyjnego. Niezręcznie jest to zmieniać - palce mi drżały. - Tak zaplanowałam i już ... Ty nawet nie wiesz, z jaką konsekwencją i wytrwałością stopniowo realizowałam swój plan... Włożyłam w to trochę wysiłku. Kończyny mi drętwiały od tego ciągłego śledzenia waszych poczynąń... Przez długie godziny głodowałam, pochłonięta swoją wizją i jej realizacją. Obserwacja ciebie zajmuje wiele czasu...

Viola tymczasem nie rezygnowała.

- To wymyśl inny punkt kulminacyjny - zasugerowała z narastającą energią w głosie. - Albo lepiej go nie wymyślaj, tylko poczekaj na naturalny bieg wypadków...

Wyprostowała plecy, wciąż siedząc na krześle. Zaczęła się bacznie przyglądać wnętrzu latarni. Dojrzała wreszcie witraż. Udawałam, że rozważam jej propozycję. Poczulałam w powietrzu radosne fluidy nadziei, które wypływały z serca Violi.

- Ładny witraż - zauważyła.

- A tak... Istotnie - odparłam w roztargnieniu, - Wiesz co, masz rację - zdecydowałam. - może faktycznie znajdę zaraz inny punkt kulminacyjny dla naszej historii.

- Taaaak?...

- Tak. Będzie mniej schematycznie. Otóż pozwolę ci zawołać na pomoc Anię. Musi być w pobliżu. No, krzycz - zachęciłam łagodnie.

Viola zareagowała dziwnie. Znów zauważyłam strach na jej spoconej twarzy. Nerwowym ruchem poprawiła włosy. Pewnie wstydziła się teraz, że znajduje się na łasce istoty, której przez długie miesiące zatrzuwała życie swoimi złośliwościami. Była też zapewne po prostu ciekawa reakcji pasierbicy. Milczała, a jej usta drgały w gorączkowym niezdecydowaniu.

- No dalej, wołaj! Bo się rozmyślę. Język ci ucięto? - spytałam drwiąco i dodałam z przyjemnością. - To twoja ostatnia szansa.

Znowu zapaliłam papierosa. Zaczęłam bawić się nożem do patroszenia ryb - jak w tanim horrorze, brrr. Chciałam wzbogacić swoje nudne, samotne życie o nowe, ekscytujące doświadczenia. Chciałam przekonać się, jak to jest być wszechmocnym twórcą rzeczywistości. Chciałam poznać granice zła siedzącego w moim wnętrzu. I udało się. Czekałam na reakcję Violi.

I wtedy moja ofiara dumnie podniosła głowę, patrząc mi prosto w oczy. Jej spojrzenie było tak przenikliwe i męczące, że wyłączyłam tę jaskrawo świecącą wojskową lampę. Przez chwilę moje oczy przyzwyczajały się do błogiej ciemności.

- Nie chcę wołać małej - powiedziała wówczas Viola. - Nie chcę tego czynić, bo zrobiłabyś jej krzywdę, zwabiła na wieżę i straszyla nożami, pistoletami, słowami, i tak dalej. Nie, nie będę krzyżeć! - mówiła podniesionym, wkurzonym głosem, a jej jasne oczy błyskały na tle szkiełek witrażu, który miała za plecami. - Nie! Nie jestem taka głupia, żeby jeszcze ją wciągać w ten koszmar. Może nie byłam najlepszą macochą, ale czegoś takiego nie zrobię! I to nie jest żadne poświęcenie, tylko rozsądek. Nadal uważam, że mnie nie zabijesz.

Bunt. Spóźniony. Nie doceniłam cię, moja bohaterko.

Ach ta sprytna, mała Viola. Ta pocziwa kobietka. Odczekałam kolejną chwilę, podczas której wsłuchiwałam się w nocną melodię nadmorskiej przyrody. Nie planowałam mieszać w to małej, ani tym bardziej jej zabijać. To nie ona była przecież moim celem. W gruncie rzeczy pragnęłam jej dobra - byłam w młodości taką samą wyśmiewaną i lekceważoną brzydulą jak ona. Ale Viola mnie zainspirowała. Poza tym nie mogłam pozwolić, by postawiła na swoim. Kusiło mnie, by zrobić jej na złość. Dookoła latarni panowała taka uspokajająca ciemność, z którą harmonizowało ciemnogrnatowe niebo i nieco jaśniejsze fale. Wpadłam na nowy pomysł.

Zapaliłam ponownie przenośną wojskową lampę o oślepiającym, silnym świetle. Zaraz potem ją zgasiłam.

- Co robisz? - wykrztusiła Viola, zasłaniając ręką oczy.

Uśmiechnęłam się i znów zapaliłam lampę. Skierowałam ją prosto na witraż, co przy okazji znowu oślepiło Violę. Lampa nie była aż tak ciężka, bym nie mogła jej swobodnie unieść, jednocześnie nadal celując w Violę pistoletem. Poczekałam kilkanaście sekund i wyłączyłam lampę. Potem znowu ją włączyłam.

- Rany?! Oszalałaś? - syknęła niestosownie.

Spojrzałam na nią z ironią.

- Myślałam, że tę kwestię już sobie wyjaśniłyśmy.

Zgasiłam lampę. I choć obie byłyśmy z Violą w równym stopniu otumanione światłem, na przemian zapalałam i gasiłam lampę przez kilka kolejnych minut. Nie wiem, czy Viola rozumiała, do czego zmierzam - pomimo szczerych chęci wciąż nie udaje mi się wniknąć w myśli innych - ale zabrakło jej sił, by protestować. Wnętrze latarni zamieniło się w jasną, wirującą przestrzeń o rozmytych konturach. Zwiększałam częstotliwość uruchamiania latarki. Wydawało się, że podłoga drgała konwulsyjnie albo kotęsała się nastrojowo jak na pokładzie niewielkiego statku.

- Przestań! Proszę... - błagała co jakiś czas Viola, ale byłam nieustępliwa. I tak zmieniałam już swój pierwotny plan w wielu aspektach. Tego zasadniczego nie zamierzałam zmieniać.

Usłyszałam leciutkie, ledwo wyczuwalne skrzypnięcie dolnych drzwi do wieży. To skrzypnięcie mógł usłyszeć tylko ktoś, kogo ucho od lat do tego przywykło. Przypomniłam sobie długie, samotne godziny spędzone w młodości na wieży. I ostry, kłujący głos kobiecy, wydzierający się na dole. Tak, poznałam to skrzypnięcie. Miałam więc niewiele czasu, mierzonego ponad setką stromych schodków, aby skończyć dzieło i spokojnie ukryć się w przygotowanej na wszelki wypadek szafie. Ponieważ teraz bez przerwy zapalałam i gasiłam światło,

Viola straciła fizyczny kontakt z rzeczywistością, jęczała i panicznie zakrywała rękoma oczy. Nie mogła usłyszeć tego, że ktoś wspina się po stopniach wieży. Musiałam działać szybko. Viola nawet nie zorientowała się, że powoli zbliżałam swoje krzesło do jej krzesła. Dzielili nas już odległość równa długości wyciągniętej ręki. Witraż znajdował się dokładnie za plecami mojej ofiary, tak jak widziałam to w planach, marzeniach i snach. Wystarczyło tylko popchnąć.

Kroki zbliżały się. W latarni było tak cicho, że osoba, która podążała na górę, nigdy nie domyśliłaby się, że grozi jej potencjalne niebezpieczeństwo. Wstałam, zdecydowana wreszcie na zakończenie mojego rozwleczonego, przegadanego dzieła.

I wtedy oślepiąca Viola wyczuła moją bliskość. Poznała mnie. Wyczuła, kim naprawdę jestem. Drgnęła niczym przerażone zwierzę. Zrobiła gwałtowny nieprzewidziany ruch całym ciałem w tył. Straciła równowagę, odbiła się od krzesła i w setnej części sekundy najpierw rozbiła swym delikatnym ciałem witraż, a potem runęła, niczym zraniony ptak, w dół, ku pięknemu widokowi z ciemno granatowym morzem i obłym, dużym księżycem. Jej jęk był przeraźliwy w swym bezgranicznym zdumieniu. Upadła tak jakoś lekko, bezdźwięcznie, tak jakby pod spodem znajdowało się miękkie łóżko z pierza albo pierzaste chmury. Poza dźwiękiem tłuczonego szkła nic nie było słychać. Kiedy planowałam tę historię, zamierałam uśmiercić Violę własnym działaniem. Rozwój wypadków zaskoczył nawet mnie. Ale to jeszcze nie koniec.

Kroki na schodach przyspieszyły i zrobiły się cięższe. Zdało mi się, że słyszę nerwowy oddech małej. Spojrzałam więc tylko raz w dół, poprzez rozbity witraż, którego ostre fragmenty nadal wystawały z ramy. Ciało Violi leżało nieruchomo, w pięknej, spokojnej pozycji, ze stylowo ułożonymi lokami wokół skręconego karku. Widok ten był tak okrutnie estetyczny, że przez chwilę zagapiłam się, skuszona pięknem. Opamiętałam się jednak i w odpowiednim czasie schowałam się w sprytnie ustawionej szafie. Była częściowo wmurowana w ścianę i dlatego sprawiała wrażenie znacznie mniejszej niż była w rzeczywistości.

Przez okrągłą dziurę w drzwiach szafy widziałam, jak zwabiona światłem mała wpada do pomieszczenia. Moje oczy także ucierpiały od nadmiaru światła, więc zdałam się głównie na słuch. Dyszała. Stała chwilę przy drzwiach, zapewne oglądając wewnątrz latarni, a potem jej kroki skierowały się w stronę stłuczonego witrażu. Wstrzymywałam oddech, ale czułam się bezpiecznie w moim schowku. Mała zachowywała się bardzo cicho. W pierwszej chwili nie wydała żadnego jęku. Dopiero po kilkunastu sekundach patrzenia w dół wieży zaczęła drgać i cicho łkać. Poczulałam nudności od tego ciągłego płaczu.

Łkanie ustawało. Mała nie poruszyła się ani trochę. Nie widziałam jej, ale mogłam się spodziewać, że wciąż stała, opanowując szok, ze wzrokiem skierowanym w dół, na dolny taras.

Wtedy zaczęła się śmiać. Był to śmiech cichy, lecz pełen pasji i autentycznej, od dawna powstrzymywanej, radości. Był to śmiech spontaniczny.

Ja musiałam być cicho.

Ale zaraz, mnie tam przecież w ogóle fizycznie nie było, prawda?